Czerwiec 2020 rok

Czytanie w czasach zarazy

Na naszym spotkaniu 25 lutego 2020 roku, żadna z nas – członkiń DKK, nie myślała o najbliższej przyszłości. Zaopatrzone w nową lekturę na marzec, a była nią powieść Arnona Grunberga: „Tirza", myślałyśmy już o spotkaniu w marcu. Dramatyczna i okrutna rzeczywistość spłatała nam figla, który wcześniej nikomu na Świecie nie przyszedłby do głowy. Epidemia, która narodziła się w Chinach, wkrótce opanowała wszystkie kontynenty. Najpierw było wstrzymanie oddechu i nadzieja, że Covid- 19 nie dotrze do nas. Niestety… dotarł….

Nie spotkaliśmy się zatem w marcu. Kwiecień, maj i początek czerwca niemal każdy Ziemianin spędzał i spędza na śledzeniu komunikatów na temat pandemii. Wieści są w dalszym ciągu bardzo niepokojące, optymiści liczą na to, że kiedyś musi się to skończyć. Pesymiści twierdzą, że to dopiero początek! Tak naprawdę, dochodzące do zwykłego człowieka informacje – wprowadzają totalny chaos. Właściwie zwykli ludzie tkwią w niepewności, bo to sytuacja, na którą nikt w XXI wieku nie był przygotowany. Żyjemy z utrwalonego nawyku, miliony pożegnały się z tym światem, ozdrowieńcy mają nadzieję, że w ich przypadku koszmar się nie powtórzy.

To tyle tytułem wstępu, a także jakieś uzasadnienie, że już od ponad trzech miesięcy, nasz Klub – nie działa.

Jestem molem książkowym, więc muszę czytać, żeby żyć. Przypuszczam, że moje współtowarzyszki z klubu – również. Bałam się i boję się nadal: o moich bliskich, o siebie, również podawana liczba zgonów na całym Świecie – przeraża mnie. Nieprzygotowanie służby zdrowia, zresztą na ogół nie z jej winy, niewydolność władz, zaniżane liczby zakażeń – wywołuje prawie u wszystkich, ogromne stresy. Żyjemy z przyzwyczajenia, a może to już wegetacja bez wiary w przyszłość?

Wspomniałam, że muszę czytać. Nie mam pojęcia, dlaczego jako pierwszą lekturę w czasie pandemii wybrałam „Dżumę" Camusa. Moi bliscy orzekli, że lubię się torturować. Nic podobnego! Uwielbiam spokojne, ustabilizowane życie , a w „ Dżumie" szukałam przepisu na życie. Nie znalazłam. Jak mogłam znaleźć, skoro akcja tej książki dzieje się sto lat temu? Doszłam natomiast do

przerażających wniosków. Od tamtych, odległych czasów, niewiele się zmieniło. Władze, żeby „nie wzbudzać paniki”, nie informują odpowiednio wcześniej społeczeństwa. Służba zdrowia nie posiada wystarczających środków na walkę z chorobą. W związku z zakazami – rośnie przemoc domowa. Niektórzy nie wytrzymują – łamią zakazy. W Polsce dochodzi jeszcze do przeczących wszelkiej logice zachowań ugrupowań politycznych w związku z odkładanymi wyborami prezydenckimi. Paranoja!

Tylko książka może pomóc oderwać się od ponurej rzeczywistości. Mam dużo książek dawno przeczytanych, zapomnianych, ale powróciłam do niedawno nabytej lektury, mianowicie „Kresowej Atlantydy” Stanisława Sławomira Nicieji.

To nie jest krzepiąca lektura, ale wędrówka po prawdziwej historii, której nie dane mi było poznać w odległych czasach szkolnych (lata czterdzieste i pięćdziesiąte). 14 tomów, mam nadzieję, że autor napisze następne. Książki Nicieji inspirują. Kiedy razem z jego bohaterami przemierzałam przedwojenny Sambor trafiłam na nazwisko zapomnianego pisarza – Walerego Łozińskiego. Jego „Zaklęty dwór” wydany w odległym PRL-u leży u mnie na półce. Przeczytałam raz jeszcze. Świetna książka, chociaż XIX- owieczny język jest czasem niezrozumiały. Szkoda, że autor tak młodo odszedł, szkoda także, że zapomniano o nim, a dużo tam o prawdziwym patriotyzmie, walce o wolność. Byłaby to doskonała lektura szkolna, zamiast przynudnych konferencji prasowych władz…

Zadzwoniła do mnie nasza moderatorka. Może jeszcze w czerwcu się spotkamy. Oczywiście z zachowaniem wszelkich zabezpieczeń. Mamy przecież nie omówioną lekturę marcową. Już myślimy, aby w lipcu zająć się Leopoldem Tyrmandem. Wszak to Jego rok! Już się przygotowuję. Przeczytałam „Siedem dalekich rejsów”. Wydanie tej książki, to także fascynująca historia. Pewien krytyk ocenił, że jest to najsłabsza książka Tyrmanda . Nie mogę się odnieść, zresztą moja ocena nie może się równać do oceny fachowca, ale lubię mieć własne zdanie. I to jest prawo czytelnika. Przeczytam po raz drugi „Złego”, tak dawno czytałam… Jestem na etapie „Dziennika 1954” . Ciekawe! Miałam wtedy 14 lat, wiele pamiętam i czytając, konfrontuję moją ówczesną (dziecięcą) wiedzę z treścią dziennika. Myślę, że do lipcowego spotkania przeczytam wszystko tego autora, co dostępne i coś jeszcze dopiszę.

„Siedem dalekich rejsów„

Przede wszystkim doskonała polszczyzna. Jestem wrażliwa na język. Obecnie potoczny język tak się zacieśnił, że trzeba go szukać w dobrej literaturze. W dodatku ta młodzieżowa moda na skróty, pewnie za kilkanaście lat powrócimy do kontaktowania się „na migi”?

Rok 1952 – Darłowo. W tej stosunkowo niezbyt treściwej lekturze jest kilka wątków. Pamiętam trochę te czasy i ośmielam się twierdzić, że autor doskonale wpisuje się w tamtą rzeczywistość. Wątek polityczny – chaos, bo przecież trudno było od razu zagospodarować te nowe obszary kraju, wspaniałomyślnie nam „dane” decyzjami wielkiej trójki, jako rekompensatę za Kresy. Inne wątki: szabrownictwo! Tu konkretnie dotyczy to bezcennego dzieła sztuki – prawie legendarnego skarbu króla Eryka. Związany z tym wątek kryminalny i działania nowej policji – Milicji. Wątek erotyczny – bez niego książek Tyrmanda nie można sobie wyobrazić. Przypuszczam, że w osobie Rolanda Nowaka jest dużo samego autora. Nie żałuję, że przeczytałam. „Rejsy” zachęciły mnie do czytania ambitniejszej lektury: „ Dziennik 1954”.

„Dziennik 1954”

Tyrmand zapisywał drobiazgowo swoje przemyślenia, przeżycia, sytuację polityczną, dokładnie trzy miesiące. Od 1 stycznia, do 31 marca. Nie wiem czy można dodać pewnego rodzaju podsumowanie – spowiedź? 1 i 2 kwietnia 1954 roku i nagle dziennik się urywa. Po przeczytaniu „Posłowia”, wiem dlaczego. Autor, na zamówienie „Czytelnika”, rozpoczął pracę nad „Złym”. Kilka miesięcy przerwy i pomysł na „Dziennik” – odpłynął… Poza bardzo osobistymi przeżyciami, „Dziennik” jest skarbnicą wiedzy historycznej o tamtych czasach, chwilami wiedzy dość subiektywnej. Byłam już wtedy czternastolatką i w siódmej klasie przedmiot pt. „Nauka o konstytucji”. Miałam dobrego nauczyciela, który „podstępnie” wtrącał przeróżne wątki, nie zawsze zrozumiałe dla czternastolatków, ale niekoniecznie zgodne z „linią jedynie słuszną”. Nie ze wszystkim zgadzam się z Tyrmandem, ale dowiedziałam się i dowiaduję się, bo ciągle jestem w trakcie czytania, wręcz niewiarygodnych faktów o tamtych czasach, dotychczas zupełnie mi nie znanych. Na przykład: historia „Tygodnika Powszechnego”.

Dla mnie odkrywanie tej historii jest fascynujące.

Cenzura! To coś o czym dowiadywaliśmy się często dopiero po wejściu w dorosłość. Przecież obecność Tyrmanda w „Tygodniku Powszechnym", „Przekroju", „Ekspresie Wieczornym" – była ważna, była inspirująca, była podnosząca rangę tych pozycji prasowych. No właśnie! Pani Cenzura wszystko unicestwiła. Odsunęła bardzo zdolnego publicystę, który z cenzurą nie chciał mieć nic wspólnego. Pisze też Tyrmand, czasem dobrze, czasem różnie o „osobistościach" z tamtych czasów.

Wieczny kontestator, nie pogodzony z nowym ustrojem, nie zmienia poglądów. To godne podziwu, ale z drugiej strony – mógł sobie na to pozwolić. Nie miał bliskiej rodziny, nie musiał troszczyć się o byt najbliższych. Wrogo nastawiony do tych, którzy dla jakichś racji, czasem bardzo konkretnych i zrozumiałych, godzili się na cenzurę, na uległość. Osobiście mam bardzo złe zdanie o tzw. ideowcach z tamtych czasów, bo tak naprawdę, nie chodziło większości z nich o ideę, ale o żłobek i spokojne życie. Mam dużo wyrozumienia dla tych, którzy musieli zapewnić warunki życiowe rodzinie. Takich były miliony. To nie były łatwe czasy…

Mimo woli, nasuwa mi się pytanie: czy w ciągu mojego całego dotychczasowego życia, były czasy łatwe? Czy obecna „dobra zmiana", tak naprawdę jest dobra? Dla nielicznych na pewno tak . Dla mnie – nie!

Z mojego ostrożnego dociekania wynika, że tak właściwie nic się od zarania dziejów nie zmienia. Zawsze byli, są i będą równi i równiejsi, a że ci ostatni dochodzą do władzy i rządów nie zawsze uczciwie, że tak jak za czasów Tyrmanda – aby w miarę dobrze żyć, trzeba pogodzić się z niewolnictwem?

Ktoś powiedział, że historia stale się powtarza. Nic ująć, nic dodać.

Nieoczekiwanie, nasza Małgosia proponuje spotkanie. To ma być 23 czerwca, a miejsce spotkania – kawiarnia Widnokrąg, w której już kilka razy odbyliśmy spotkania. Czy to bezpieczne? W Polsce ciągle nowe zachorowania, zgony. Mówi się o „ogniskach" i najwyraźniej władze jakby coś chciały ukryć. Nic dziwnego, za kilka dni wybory. Iść, czy nie iść? (oczywiście mam na myśli DKK, bo sprawa Wyborów jest już zdecydowana: pójdę!). Czy iść na spotkanie DKK? Komunikacja miejska odpada – nie mam zaufania do służb, do których należy zabezpieczanie transportu. Jednak ciągnie wilka do lasu, chyba pójdę?
W ostatniej chwili dostaję na komórkę sms-a o alercie pogodowym. Zagrożenie pogodowe dla naszego regionu! Burze! A to parę kilometrów pieszo.

Rezygnuję … Od początku działania klubu, to drugi raz … Trudno, jestem tchórzem.

Wracam do Tyrmanda. Fascynujące rozmowy z Kisielem (Kisielewskim). Niektóre fragmenty trafiają mi do serca, mam podobny pogląd, chociaż tyle lat minęło od czasu, kiedy w służbowej klitce bez wygód, te zdania padały na papier. Cytuję: „Ja wiem, że mój protest jest czysto teoretyczny, ale co robić? Żyłem pod Hitlerem i Stalinem, w imię których ludzie źli, bądź głupi decydowali w najlepsze o moim losie, nie pytając mnie wcale o zdanie. A za sanacji też znowu nie było tak czarownie. Przeciwstawiałem się wszystkim, jak mogłem, niewiele mogłem. ….. A może marksiści mają rację? Przykre, ale nie wiem. To się okaże na samym końcu…"

Na stronie 228 ostra krytyka Jarosława Iwaszkiewicza. Trochę boli, bo przecież nie da się zaprzeczyć, jak wiele uczynił Jarosław Iwaszkiewicz dla Sandomierza.

Wśród goryczy dziennika, zdarzają się wtręty, pełne humoru – zjadliwego humoru. Cytuję: „Co mówią ludzie w Warszawie? Mówią o pewnej podróży samolotu Lot-u z Warszawy do Poznania. Zaraz po starcie, gdy samolot unosił się wdzięcznie nad stolicą, wyszedł z kabiny pilota młody człowiek w mundurze Lot-u, lecz w złowróżbnym czerwonym krawacie zetempowca i oświadczył: „Obywatele! Składam wam gratulacje! Samolot, w którym znajdujecie się, uznany został jeszcze kilka tygodni temu za niezdatny do użytku w opinii bezdusznych rutyniarzy i biurokratów. Ale młoda brygada zetempowskich lotników, w ramach współzawodnictwa pracy i wart przedzjazdowych, zobowiązała się użytkować go nadal bez generalnego remontu, oszczędzając w ten sposób miliony złotych i setki roboczogodzin dla naszej ludowej ojczyzny! I proszę, oto lecimy"… Wszyscy zrazu struchleli, po czym rozległ się lament nieznany w historii polskiego lotnictwa cywilnego, zaś jeden z pasażerów, jak się okazało wysoki dygnitarz partyjny, podobno zawył: „Dość tej szopy! Natychmiast lądować! Wy nie wiecie, kto ja jestem! Ja wam pokażę…"
Ale zetempowcy nie dali się zastraszyć, ostatecznie poza stachanowszczyzną wchodziły jeszcze w grę nie byle jakie premie. Samolot doleciał do Poznania, gdzie połowa pasażerów natychmiast po opuszczeniu srebrnego ptaka rzuciła się do panicznej ucieczki, podczas gdy połowę trzeba było długo cucić."

To tyle na dzisiaj. Tyrmand opisał trzy miesiące życia. Jestem już w marcu. Nastrój pisarza bez zmian, tzn. bez nadziei.

Marzec „przedwiośnie… wiosna…" Jakby mniej gorzkich uwag o ustroju, sporo o budowniczych socjalizmu, rozmowy z Kisielem, no i nieodłączny dla Tyrmanda erotyzm. Może z racji mojego zaawansowanego wieku, dla mnie o wiele za dużo miłosnych wzlotów Tyrmanda. Jego liczne stwierdzenia, jak to on szanuje

kobiety, nie trafia mi do przekonania. Pachnie mi to klasycznym erotomaństwem. Tyrmand traktuje kobiety jak narkotyk. Uzależniony?

Skończyłam. Właściwie dobrze, że mam to za sobą. Czas sięgnąć po „Złego". Kiedyś , „dziesiąt" lat temu czytałam. Pewnie z innym, młodzieńczym podejściem. Jestem ciekawa, jak teraz ustosunkuję się do lektury. Fragment recenzji na okładce, brzmi zachęcająco.

„Zły"

Dobrze się stało, że przeczytałam „Dziennik" przed „ZŁym". Przeczytałam? Właściwie się przeczołgałam . Bardzo trudna lektura, ale nie żałuję. Dotarło do mnie wreszcie, dlaczego ten zdeklarowany buntownik, zdecydował się napisać i wydać książkę w czasach, których nie akceptował. „Dziennik" urywa się 2 kwietnia. Autor ma nadzieję, że wróci do niego – nie wrócił. W ciągu kilku miesięcy, napisał „Złego". Po latach milczenia, zamknięcia w sobie – nastąpiła eksplozja. Tak odbieram „Złego". „Zły" – to erupcja wulkanu,to literackie tsunami. Porównuję tworzenie książki, jak zachowanie człowieka, który umiera z głodu, godzi się z losem i nagle staje w obliczu obfitości jedzenia. W „Złym" – można odnaleźć wszystko: brawurowe starcie dobra i zła, z jednej strony dążenie do stabilizacji, z drugiej – pogrążanie się w chaosie. Warszawa na początku lat pięćdziesiątych, skutki decyzji „wielkiej trójki" (niestety, dla nas niekorzystne), narzucana nam miłość do „wielkiego brata" i to co towarzyszy nam do dziś: przestępczość zorganizowana i alkoholizm. Symbioza służb powołanych do ochrony zwykłych obywateli ze zwykłymi przestępcami. Nieprzestrzeganie prawa i pobłażliwość wobec czynów karalnych. Tyle lat minęło i czy wiele się zmieniło? Wprawdzie statystyki wykazują poprawę, ale my zwykli ludzie, już od dawna przestaliśmy w nie wierzyć. Trochę odbiegłam od tematu. Wracam . "Zły" – to świetna książka , doskonały „kryminał", oraz – tak uważam: dokument epoki. Ponieważ w owych czasach byłam już nastolatką, wiele pamiętam i mogę powiedzieć, że tak było! Z pewnością życie w moim małym miasteczku trudno porównać z życiem Warszawian, ale w mikroskali, było podobnie. Może autor niektóre kwestie przerysowuje, ale czyni to z takim temperamentem, że podnosi to atmosferę książki. „Zły" – wciąga. To prawda nie do podważenia. Przeczytaj, przekonasz się, że mam rację.

P. S.

Kiedy w chwilach odpoczynku „przetrawiam” treści „Złego”, przychodzi mi na myśl konkluzja, może niedorzeczna, że dziś w realu przydałby się taki mściciel-uzdrawiacz z białymi oczami. Taki współczesny Robin Hood? Wilhelm Tell? Janosik?

Maria Zarańska